



LET IT

LOVE

LEONIA OSCAR

Rebelle ♡

Copyright© Leonia Oscar
Copyright© by Wydawnictwo Rebelde
All right reserved
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
LESZNO 2025

Redakcja i korekta językowa:
Justyna Szymkiewicz @daj.mi.slowo

Korekta po składzie:
Ewelina Dobosz

Projekt okładki:
Kamila Polańska

Skład:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68587-23-4


WYDAWNICTWO



Winter Wonderland

Bing Crosby

Daniel

Grudzień. Ostatni miesiąc roku, który sprawia, że ludzie dostają jakiejś korby. Latają po sklepach jak opętane szaleństwem wyprzedaży potwory, a w ich oczach lśni demoniczna potrzeba wydania kasy, żeby poprawić statystykę z ubiegłego roku. Wszystkie obietnice, jakie przez minione miesiące sobie powtarzali – że w tym roku skromnie, bez szastania kasą, której większość tak naprawdę nie ma – idą się walić właśnie w tych dniach.

Potem w odświętnych uniformach obdarowują się efektem swoich maratonów, wiedząc, że przynajmniej część z nich psu na budę, bo będą leżały gdzieś w kącie. W lepszej sytuacji są, gdy zachowany paragon pozwoli zwrócić badziewie do sklepu i wybrać inną opcję prezentową. A przez następne jedenaście miesięcy będą układać w głowach kolejne listy do brodatego frajera, zażywając się spłaceniem rat.

Jakie miałbym życzenie, gdybym wierzył w te wszystkie świąteczne duperele?

Żadnych dram typu złamana noga pociechy, grypy, srypy i inne zarazy nękające społeczeństwo w tych rozkosznych dniach. Żadnych last minute urlopów okolicznościowych.

A czego chciałbym najbardziej?

Spokoju i ciszy. To jest to, czego życzyłbym sobie w tym roku i w każdym kolejnym. Niestety, widząc, jakie cuda dzieją się dookoła mnie, nie miałem na co liczyć. Może za rok. A może za dziesięć lat.

Oparty ramieniem o ścianę przy oknie obserwowałem załadunek. Kierowcy pilnowali porządnego ułożenia towaru, pokrzykując do robotników, gdy ci z lekceważeniem traktowali coś, co przynosiło fajną kasę. Będzie dobry dzień, będą mogli na liście do faceta z białą brodą odhaczyć iPhone'a dla córki, super gierkę dla syna, a dla żony weekend w spa z koleżanką. A sami, zjebani po tym szaleństwie, nie będą marzyć o niczym innym jak o zimnym piwie, miękkim fotelu i czymś odmiennym niż kolejny rok z Kevinem.

Usłyszałem pukanie do drzwi i w pierwszej chwili chciałem zignorować intruza. Jednak natrętna istota stojąca po ich drugiej stronie nie dawała za wygraną, więc po kolejnej serii puk, puk, stuk, stuk warknąłem przez zaciśnięte zęby:

- Wejść!
- Szefie, pan Borys na drugiej linii.

Nawet nie spojrzałem na sekretarkę, burcząc pod nosem przekleństwa. Jak znam życie, swojego pecha i własnego brata, właśnie dzwoni wydebić kasę. Pewnie kolejna panienka i jej niekończące się zachciewajki. Szkoda tylko, że sam na te gówna nie zapracuje.

- Czego?
- A gdzie staropolskie powitanie?
- A może być: wal się? – odwarknąłem wkurzony.
- Daj spokój, brat – zapiszczał. – Idą święta, czas radości i rodzinnego pojednania.

Złapałem palcami grzbiet nosa, ściskając go kciukiem i palcem wskazującym. Już wiedziałem, że ten głupek zadzwonił po pieniądze. Problem z nim był taki, że choć miał dwadzieścia sześć lat, to sprawiał wrażenie dzieciaka, który myśli, że kasa rośnie na drzewie. Szkoda, że starzy chuchali na niego jak na swój największy skarb, bo to ja muszę się z nim teraz użerać.

– Ile?

– Dlaczego zakładasz, że dzwonię akurat po pieniądze? Gdzie miłość braterska? – Zarechotał.

Zacisnąłem dłoń na słuchawce. Powinienem chyba pójść na jakieś szkolenia i nauczyć się mówić słowo „nie”, uznałem. Takie ekstremalne, wiecie – jak powiedzieć „nie” i powstrzymać się przed morderstwem pierwszego stopnia ze szczególnym okrucieństwem, z zakopaniem poćwiartowanych członków pod altanką u dziadków. Zna ktoś może datę najbliższego kursu?

– Ile? Więcej nie zapytam i od razu kończę rozmowę.

– Trzydzieści – wymamrotał po serii męczeńskich odgłosów.

– Złotych?

– Kurwa, pojebało cię? – warknął, wyraźnie wyprowadzony z równowagi słyszalnym w moim głosie sarkazmem. – Tysięcy. Trzydzieści pieprzonych tysięcy.

– Posłuchaj, młody... – Z trudem opanowałem wzburzenie, bo nikt tak jak on, darmozjad i truteń, nie potrafił wyprowadzić mnie z równowagi. – Ten rynsztok, który wypływa z twoich ust, może imponuje twojemu towarzystwu. Mnie wręcz przeciwnie, więc pomyśl, zanim ponownie uraczysz mnie swoją kwiecistą przemową.

– Zawsze ta sama śpiewka. To, że ty trzymasz kasę...

– Zarabiam, nie trzymam. Każda złotówka, którą wydajesz na te swoje latawice, należy do mnie. Ta firma należy do mnie, nie do ciebie. Skończyłeś studia, więc może nadszedł czas założyć spodnie dużego chłopca, a nie trzymać się maminej spódnicy? – Nie

wytrzymałem, słysząc, jak gnojek prycha niczym naburmuszona nastolatka. – Idź w końcu do roboty, zacznij ogarniać swoje bez nadziejne życie i dopiero wtedy możemy dokończyć tę rozmowę. Do tego czasu trochę milej, z łaski swojej.

Wielka szkoda, że nie zainstalowałem w mieszkaniu Borysa kamerek. Z niebywałą radością oglądałbym teraz jego wykrzywioną wściekłością twarz.

– Sorry, okej? – sapnął na wydechu, jakby skręcał się z bólu. Kto wie? Może faktycznie tak było? – Nie napinaj się tak, stary. Ogarnę się, słowo. Zacznę po nowym roku. W końcu do czegoś się przyda mój dyplom z marketingu, co nie? Patrząc na te twoje lebiegi, jestem przekonany, że poradziłbym sobie znacznie lepiej.

Trzymajcie mnie! Zapłacił za cholerne egzaminy, przeleciał asystentki trzech profesorów, żeby mieć dostęp do arkuszy egzaminacyjnych. Dodam, że jeszcze na tym zarobił, odsprzedając je swoim równie nieudacznym koleżkom. Marketingowiec, psia mać!

Zamknąłem oczy, zastanawiając się, jak w sposób uprzejmy spławić rodzonego brata. No dobra, prawie rodzonego, bo szczeniak to efekt drugiego krótkotrwałego małżeństwa mojej matki. To nie tak, że nie chciałem pożyczyć mu kasy. Właściwym słowem byłoby „sprezentowanie”, bo jak długo mam gnojka na głowie, tak nigdy nie oddał nawet złotówki. Sęk w tym, że za każdym razem jego wymagania rosły. Jeszcze trochę, a będzie chciał połowę udziałów w firmie i dożywotnio opłacane panienki, którymi się otaczał.

Nagle coś przyszło mi do głowy. Zerknąłem przez ramię na leżące na biurku dwa kolejne druki zwolnień lekarskich. Jeden z doświadczonych kierowców będzie uziemiony przez co najmniej sześć miesięcy. Operacja kolana po wypadku na lodowisku plus złamana w dwóch miejscach ręka. Wciąż zadawałem sobie pytanie, czy on się z tym lodem naparzał, czy jakie lichy?

A gdyby tak...

Kierowca z Borysa był żaden. Już szybciej sprawdziłby się na torze, a nie na drodze, traktując bogu ducha winnych kierowców. Nie, nie! Nie podjąłbym takiego ryzyka za nic w świecie. Natomiast ten gnojek miał gadane jak się patrzy. Z wyglądem blond adonisa, wesołym spojrzeniem i czarującą gadką sprzedałby diabłu jego własny kocioł ze smołą i jeszcze na tym porządnie zarobił.

– W porządku, dostaniesz kasę – oznajmiłem. – Jednakże...

– Dzięki, stary! Wiedziałem, że nie odmówisz bratu. Wiesz, trzeba się wspierać – rzucił ze śmiechem. – To czekam na przelew. Muszę lecieć, jestem umówiony z ...

– Zanim znikniesz na kolejne tygodnie, drogi bracie – wtrąciłem, nim się rozłączył. – Skoro, jak właśnie stwierdziłeś, trzeba się wspierać, będę potrzebował twojej pomocy.

– Eee... W czym? – zapytał niepewnie.

– Za dwa tygodnie święta. Nie muszę ci tłumaczyć, co to oznacza w firmie – dodałem złośliwie.

Dla niego święta to wielkie choinki w ekskluzywnych butikach i hotelach, drogie prezenty i suto zastawiony żarciem stół. Ten dzieciak nie miał pojęcia o całej tej zakulisowej robocie, gdy człowiek musiał nabiegać się za karpem, nabawić się bólu kręgosłupa w kilometrowych kolejkach, kleić pierogi, piec ciasta i naszym narodowym zwyczajem szorować chatę od strychu aż po piwnicę. Tak jakby zamiast kolędników miała zawitać kontrola z sanepidu wraz z Idealną Panią Domu sprawdzającą, czy w kątach nie ma kurzu, a okna lśnią jak diamenty od Tiffany'ego.

– Jeden z moich sprzedawców miał operację wyrostka robaczkowego. Chcesz, żebym pożyczył ci kasę? Zastąpisz go.

– Oszalałeś?! – ryknął roztrzęsionym głosem. – Ja się na tym kompletnie nie znam...

– Jeszcze kilka minut temu twierdziłeś, że sobie poradzisz – przypomniałem i po raz pierwszy od chwili, gdy odebrałem telefon od

Borysa, uśmiechnąłem się szeroko. – Widzę cię jutro, punktualnie o siódmej rano.

– Stary, chyba nie myślisz...

Rozłączyłem się z uczuciem niesamowitej satysfakcji. O tak, chyba znalazłem idealny sposób na Borysa. Jednym ruchem posłałem piłkę na jego stronę. Pozwoli jej potoczyć się na aut albo podejmie wyzwanie. Grał o całe trzydzieści patyków, które z chwilą, gdy powiedziałem, że je dostanie, już wydał co do ostatniej złotówki.

Zerknąłem na zegarek na nadgarstku i podeszedłem do biurka, naciskając interkom.

– Mario?

– Tak, szefie?

– Możesz już iść do domu.

– Dziękuję, a pan jeszcze zostaje?

– Tak, godzinę, może dwie. Do zobaczenia rano.

Usiadłem w fotelu i splatając palce na brzuchu, próbowałem wyobrazić sobie minę Borysa, gdy usłyszał, w jaki sposób ma zarobić kasę. Zapewne właśnie się zastanawia, jak nie brudząc sobie delikatnych rączek, dorwać się do trzydziestu kawałków. Wkrótce się zorientuje, że jednak nie ma wyjścia. Jego życie, jego dylematy.

Pomyślałem, że nadchodzący rok będzie wyjątkowy.



All Alone on Christmas

Darlene Love

Ania

Zatrzymałam się na światłach, wybijając palcami rytm kolędy sączącej się z radia. Okres przedświąteczny zawsze sprawiał, że moje serce napędliało się radością. Pierzchały w zapomnienie wszelkie troski dnia codziennego i wieczne zamartwianie się problemami, a pojawiała się nadzieja. Tych kilka dni w roku chciałam mieć w sobie wiarę na nieco lepsze życie. Gdyby jeszcze spadł śnieg, marzenia stałyby się bardziej realne.

Zerknęłam na podświetlony zegar. Zbliżała się północ. Jak na piątkowy wieczór ruch był słaby. Kilka kursów z marketów, kilka do nocnych klubów. Wiedziałam, że powinnam już skończyć, jednak liczyłam na nieco większą kasę za spędzenie piątkowej nocy w samochodzie. Kasę, której naprawdę potrzebowałam.

Zajechałam na parking pod McDonald'sem. *Od rana nic nie jadłam, więc burger i mocna kawa pozwolą mi przetrwać noc.* Zgłosiłam przerwę do centrali i opatulając się kurtką, wysiadłam z auta. Gwałtowny podmuch wiatru wdarł się pod znoszony materiał.

Zacisnęłam zęby i skuliłam ramiona, prąc do przodu. Nawet halny nie przeszkodziłby mi w dotarciu do celu.

Wewnątrz lokalu panowało przyjemne ciepło. W rogu, przy małym stoliku zauważyłam dwóch znajomych mężczyzn. Jeździli w konkurencyjnej korporacji, ale byli całkiem w porządku. Kiwnęłam im tylko głową i podeszłam zamówić jedzenie.

- Big Maca i małą czarną kawę, poproszę.
- W zestawie?
- Nie, dziękuję.

Kilka minut później zajęłam miejsce przy stoliku pod oknem, skąd widziałam stojące na parkingu auto. Szalejący na zewnątrz wiatr wcale nie zachęcał do wyjścia. Wyjęłam z kieszeni telefon i zerknęłam na ostatnią wiadomość od mamy. Uśmiechnęłam się na widok zdjęcia, które dołączyła.

Kochałam święta. Ich magię, specyficzny zapach i kolorowe, roziskrzane światełkami ulice miasta. Gdy byłam mała, z zapartym tchem czekałam w oknie, aż zabłyśnie pierwsza gwiazdka. Znak, że można zacząć wigilijną kolację, a potem otworzyć prezenty.

Popijając nieco już chłodną kawę, przejrzałam Instagram. Znajomi wybierali się na egzotyczne wycieczki, planowali wypad w góry i świętowanie Nowego Roku w drogich ośrodkach. Po liceum nasze drogi znacznie się rozeszły. Moje plany na przyszłość pozostały w formie planów, a oni dostosowali życie do własnych oczekiwań. Czy żałowałam, że moje potoczyło się w tym kierunku? Czasami. Czy gdybym ponownie stanęła przed wyborem, byłby on inny? Nigdy!

Wróciłam do samochodu, obiecując sobie solennie, że jeżeli przez następną godzinę nie będę miała żadnego kursu, skończę pracę i wrócę do domu. Stanie beczynnie na słupku wymagało ode mnie samozaparcia. Temperatura spadła poniżej zera, więc zamiast przepalać auto, postanowiłam pojeździć. *Może coś złapię?*

Zerknęłam na zegar. Jeszcze pięć minut. Tylko pięć, powtarzałam w myślach, gdy przejeżdżając obok klubu nocnego, zauważyłam

wychodzącą ze środka grupkę osób. Jeden z mężczyzn rzucił się do przodu, wymachując ręką w moją stronę.

Nie o to mi chodziło, marudziłam pod nosem, zwalniając, by w końcu zatrzymać się przy krawężniku. Miałam złapać normalny kurs, a nie służyć zbłąkanym imprezowiczom. Tylne drzwi auta otworzyły się, a lodowate powietrze, jak seryjny zabójca, wykończyło całe ciepłko. Szarpnęłam kołnierz kurtki, odgradzając się od wsiadających w ślimaczym tempie pasażerów. Ku mojej uldze wsiadł tylko jeden z mężczyzn i jakaś rozchichotana kobieta, która jak bluszc od razu przylgnęła do ciała towarzysza.

– Do mnie czy do ciebie? – zachichotała, sunąc dłonią po męskim udzie okrytym ciemnym materiałem spodni.

– Do ciebie. – Usłyszałam odpowiedź.

Mężczyzna miał głęboki, odrobinę ochrypły głos, który wywołał na moim ciele dreszcz. Jako namiętna słuchaczka audiobooków potrafiłam docenić ten rzadki dar. W wyobraźni już widziałam go czytającego *Proś mnie, o co chcesz*, Megan Maxwell.

Do licha, Anka! Święta, kołеды, pierogi z kapustą i grzybami, a nie hiszpańskie klimaty, seksowny właściciel firmy i kluby dla dorosłych. Otrząsnęłam się z dziwnego uczucia, zerkając we wsteczne lusterko. Jego twarz tonęła w ciemności, za to jego towarzysza jak gwiazda estrady rzuciła w moją stronę szeroki uśmiech.

– Metalowców trzydzieści. To taka duża kamienica niedaleko portu.

Kiwnęłam głową, nie słuchając dalszych sekretów dojazdu pod wskazany adres. A mogłam być już w domu. Przykryta po czubek nosa ciepłą kołderką, z głową wypełnioną kolejną partią marzeń na kiedyś.

Co chwilę, jakby wbrew sobie, moje spojrzenie uciekało w stronę wstecznego lusterka. Nie potrafiłam się powstrzymać, gdy ciszę w samochodzie wypełniało pojękiwanie kobiety i szelest ocierającego się materiału. Słowo, jak zaczął się bzykać na tylnej kanapie, to wykopię ich na ten ziąb.

Kiedy dziesięć minut później zatrzymałam się pod wspomnianą i opisaną co do jednej cegielki kamienicą, nie myślałam o niczym innym niż o zakończeniu tego cholernego dnia. Mężczyzna wysiadł pierwszy i podając dłoń odzianą w rękawiczkę, pomógł wysiąść swojej towarzyszce. Pochylił się, zaglądając do wnętrza, i zanim miałam okazję podać kwotę za kurs, rzucił mi banknot na przednie siedzenie pasażera.

– Proszę zaczekać.

Trzasnął drzwiami, aż skuliłam ze złości ramiona. Ależ bym gburą trzepnęła. To nie stodoła, tylko moje narzędzie pracy. Takim trzaskaniem zasłużył na to, abym zostawiła jego zgrabny tyłek na tym odludziu. Zerknęłam na banknot, unosząc brwi. Gbur, ale miał gest, ponieważ na liczniku wybiło zaledwie siedemdziesiąt złotych, a tutaj proszę. Sam Zygmunt Stary postanowił zawitać w moje skromne progi. Biorąc pod uwagę kiepski zarobek w ostatnich dniach, byłam gotowa poświęcić się i poczekać kilka minut.

Kilka, a nie tyle, ile zajęłyby szybki numer z napaloną laską przyciśniętą do ściany. W razie czego mogłam odjechać. Paniusia zaopiekuje się swoją klubową zdobyczą.

Ku mojemu zdziwieniu mężczyzna pojawił się niecałe pięć minut później. Czyżby panienska zmieniła zdanie, widząc amanta w świetle latarni? Wślizgnął się do wnętrza, zajmując miejsce na tylnej kanapie, i nawet na mnie nie patrząc, wymamrotał:

– Stawidłowa cztery.

Nie to, że trafił mi się jakiś dodatkowy kurs, ale akurat ten adres znajdował się poza miastem. Wizja powrotu do domu oddalała się coraz bardziej. Wbiłam nowy kurs w telefon, dając tym samym znać centrali, że opuszczam teren. Skupiłam się na drodze, uśmiechając, gdy kolejna porcja świątecznych hitów wypełniła ciszę.

– Niech pan wyłączy to zawodzenie.

Tak mnie wystraszył tym swoim mrukliwym tonem, że lekko szarpnęłam kierownicą. Zmiliłam w ustach dosadne określenie,

trzymając język za zębami. Albo facet był wściekły, bo nie zaliczył, albo trafił mi się zielony stworek siejący postrach w czasie świąt. Nasz klient, nasz... Moje spojrzenie ponownie powędrowało do lusterka. Mężczyzna pochylony nad telefonem nie zwracał na mnie uwagi. Wsunęłam do ucha słuchawkę i puknięciem uruchomiłam słuchany wcześniej audiobook.

Nie zdziwiło mnie, że pomylił mnie z mężczyzną. Nie miałam okazji się odezwać, a kołnierz kurtki i wielki kaptur zasłaniały w znacznej mierze moją głowę. Poza tym gościu ani razu nawet nie spojrzał w moją stronę. Najpierw skupiony był na paniusi, a teraz scrollował telefon.

Dochodziła pierwsza w nocy, gdy powoli podjechałam pod wskazany wcześniej adres. Zdaje się, że znajdowały się tutaj dwie hurtownie i największa w województwie plantacja drzewek i krzewów. Mrukliwy gościu nie wyglądał mi na miłośnika roślin zielonych.

Ponownie na siedzeniu wylądowały banknoty z podobizną Zygmunta i nawet nie miałam okazji podać paragonu, gdy trzasnęła drzwiami.

– Wesołych świąt – rzuciłam z sarkazmem, zgarniając pieniądze.

Miałam dosyć tego dnia, a właściwie nocy. Wróciłam do miasta i w drodze do domu odgwisdałam w centrali koniec zmiany. Tak wiecie, aby nie kusiło mnie przejechanie pod klubami. Jak zwykle musiałam zostawić samochód dwie przecznice od domu. Niby bezrobocie, podwyżki i inne dodatki dla zaganianego społeczeństwa, a samochodów przybywa. Cichutko otworzyłam drzwi mieszkania, rozebrałam się i nie zapalając światła, wślizgnęłam się do pokoju.

Na moich ustach pojawił się szeroki uśmiech, gdy zaciągnęłam się jakże znajomym zapachem wanilii. Podeszłam do stojącego pod ścianą łóżka. Podciągnęłam kołdrę, okrywając śpiącą w nim postać. Pochyliłam się i ustami delikatnie musnęłam ciepłą skórę policzka.

– Słodkich snów, aniołku – wyszeptałam.

– Doblanoc, mamusiu – wymamrotała.



The Twelve Days of Christmas

Johnny Kaye, Al Goodman
and His Orchestra

Daniel

Nawyki mają to do siebie, że jak wejdą głęboko w krew, za diabła się ich nie pozbędziesz. Dokładnie tak miałem z codziennym joggingiem. Mieszkalem poza miastem, ale droga dojazdowa wcale nie była taka zła. Wzdłuż całej asfaltowej nitki biegła ścieżka rowerowa, z której korzystali również biegacze.

Nawyki mają też to do siebie, że nawet po imprezie, nie do końca trzeźwy, zwlekałem tyłek z łóżka. Dokładnie tak jak w ten sobotni poranek. Nie było jeszcze szóstej rano, gdy po wyjściu spod prysznica przeszedłem do garderoby, szukając stroju do biegania. Wystarczyło mi jedno spojrzenie przez okno, aby podjąć decyzję o skorzystaniu z domowej siłowni. Na zewnątrz lało, jakby miał nastąpić słynny potop, a korony drzew ugiwały się w dzikim tańcu. Lubiłem wyzwania, ale nie aż tak ekstremalne.

Gotowy do ćwiczeń wróciłem do sypialni, by poszukać telefonu. Zmarszczyłem brwi, nie widząc nigdzie urządzenia. Co, do licha? Przeszukałem kieszenie spodni, marynarki i płaszcza.

– Jasna cholera! – krzyknąłem sfrustrowany, gdy okazało się, że również portfel zginął.

Ćwiczenia w jednej sekundzie zeszły na dalszy plan. Potrzebowałem porządnej dawki kofeiny, żeby na spokojnie przeanalizować sytuację.

Z kubkiem czarnej jak smoła kawy oparłem się o blat kuchennej wyspy i zapatrzyłem w widok za oknem. Zawsze mnie uspokajał. Sprawiał, że nawet najbardziej parszywy dzień stawał się lepszy.

Firmę odziedziczyłem po dziadkach ze strony ojca. Między innymi to stanowiło kość niezgody pomiędzy mną a Borysem. Uważał, że powinienem się z nim podzielić, skoro jego ojcu nie dane było dorobić się majątku. Krótko mówiąc, mój miał na tyle szczęścia i zdroworozsądkowego myślenia, że rozwiódł się z matką, zanim ta nie doprowadziła go do ruiny. Sorki, brachu, ale odpowiedzialność zbiorowa w tym wypadku nie przejdzie.

Dobra, wróćmy do problemu. Piątkowy wieczór nieco zatarł mi się w pamięci. Po rozmowie z Borysem wyskoczyłem do baru na drinka. Powinienem poprzestać na pierwszym, przynajmniej uniknąłbym tej sytuacji. Ale cóż, spotkałem znajomego. Do kolejnego drinka dołączyły jakieś kobiety i wylądowaliśmy w klubie. Potem było już gorzej. Chyba nagromadzona frustracja na brata wzięła górę i tak po ludzku się urząłem.

Jednak doskonale wiem, że nie zaliczyłem panienki, z którą wyszedłem. Nie mój typ, nie moje metody poznawania kobiet. Jak przez mgłę pamiętam, że wcisnęła się ze mną do taksówki, a jej ręczki latały jak wiatraczki, próbując dostać się do moich spodni. Odwiozłem ją do domu... Cholera, ale gdzie?

Z jękiem potarłem pulsujące skronie. Noc... Taksówka... Myśl, stary, myśl! Skoro obudziłem się w domu, to znaczy, że taksiarz

przywiózł mnie tutaj. Musiałem w takim razie mieć pieniądze, żeby zapłacić za kurs. W domu nie trzymam gotówki, więc jedyną kasą była ta, którą miałem w portfelu.

Cholera! Otworzyłem laptop, by zalogować się do banku. Ku mojemu zdziwieniu nie było żadnych dziwnych transakcji czy wypłat gotówki. Ostatnie były z klubu, gdy płaciłem za drinki. Pies drapał portfel, kasę i karty. Potrzebowałem swojego telefonu! Numery, kalendarz z poumawianymi spotkaniami na następny kwartał, służbowe notatki i jeszcze więcej. Odtworzenie tego zajmie w cholere czasu. Do licha, dlaczego nie ustawiłem idiotycznej lokalizacji urządzenia?

Gdybym był w stanie przypomnieć sobie, jaką taksówką przyjechałem... Może kierowca go znalazł? A może kolejny pasażer po prostu sobie przywłaszczył?

Zerknąłem na zegar. Była szósta trzydzieści w cholerny sobotni poranek, więc z urzędowych spraw guzik załatwię. Natomiast zdecydowanie będę musiał pojechać do centrum po nową komórkę. Na myśl o tych wszystkich brokatowych świątecznych duperelach oblepiających sklepowe wystawy robiło mi się słabo. Kolędy i świąteczne piosenki katują uszy bogu ducha winnych klientów, a przebrane za aniołki małolaty zapewne wciskają każdemu sianko i opłatki. Święta, psia mać!

Za pięć siódma wszedłem do biura. Łypnąłem okiem na stojącą w sekretariacie choinkę upstrzoną całym tym bożonarodzeniowym szajsem i chciałem zawrócić. Jak ja nie znosiłem świąt! Nagle w mojej głowie pojawił się obraz zaciemnionego wnętrza samochodu. Radio cicho wygrywało jedną z kolęd, które nagminnie wyśpiewują gwiazdy estrady. Na fotelu kierowcy siedział wątły chłopaczyna. Takie przy najmniej sprawiał wrażenie. Obszerny kaptur zasłaniał całą jego twarz, ale pamiętam, że miał nadrukowane jakieś czerwone duże litery. A może to były cyfry?

– Szefie?

Odwróciłem się, słysząc za sobą głos jednego z moich pracowników. Zamrugałem lekko oszołomiony. Kac, brak snu i kompletny chaos w głowie zdecydowanie nie sprzyjały mi dzisiaj. A co za tym idzie – wszyscy odczują to na własnej skórze.

– Co się dzieje, panie Kaziku?

– Dostaliśmy duże zamówienie na świerk i jodłę kaukaską. – Potarł łysiejący czubek głowy i ponownie nasunął na nią wełnianą czapkę. – Poprzedni dostawca nie wywiązał się z umowy, a towar okazał się wątpliwej jakości.

– Ale?

– Chcą ładunek na wczoraj, płacą gotówką.

Zajebicie! Jakby cała firma tylko czekała na takie okazje. Przecież my nie robimy nic ważnego! Co tam obsługiwanie całego województwa, rozwojenie asortymentu na nasze świąteczne targowiska? Kto przejmowałby się tym, że wciąż działało osiem sklepów firmowych, które również wymagały dotowarowania.

– Gdzie? – zapytałem.

– Zachodniopomorskie. – Wręczył mi zadrukowaną kartkę z zamówieniem.

Jasny gwint! Przy takiej liczbie to sprawa na trzy dni. Drzewka to nie dywany, które zrzucisz na bruk i pozamiatane.

– W porządku, panie Kaziku. Niech pan sprawdzi, jak stoimy z pozostałymi zamówieniami. Gdyby udało nam się dorzucić przynajmniej część towaru, to tego – potrząsnąłem kartką – pojechałyby dwa wozy zamiast czterech.

– Chłopaki mają zrobić karuzelę?

– To chyba najrozsądniejsze.

Karuzela oznaczała, że kierowcy zrobią ogromne koło, zanim dotrą z głównym zamówieniem. Będą musieli dostarczyć najpierw towar do innych odbiorców. Ich zamówienia były dla nas priorytetowe. Wprawdzie nie rozumiałem tej ogromnej potrzeby posiadania świątecznego drzewka, ale ta firma z tego żyła.

A skoro o zarobkach mowa, właśnie drzwi otworzyły się z hukiem, a do środka wpadł nie kto inny, a Borys. Zmierzyłem wzrokiem eleganckie spodnie, lśniące skórzane trzewiki, markowy płaszcz w jodełkę i fantazyjnie zarzucony dookoła szyi szal. Gdybym był złym człowiekiem, wysłałbym gnojka do kopania grządek w szklarniach, ale ja przecież taki nie jestem. Chyba nie... To rodzina... Trzeba się wspierać...

A psia mać!

– Panie Kaziu, najlepiej będzie, jeżeli dopilnuje pan całego załadunku. Mój brat panu pomoże. – Wskazałem na przeglądającego się w szybie adonisa. Już na pierwszy rzut oka widać było, że pańcio pasował bardziej na wybieg dla modeli niż do fizycznej pracy.

Bąłem się, że ten pocziwy człowiek zaraz pierdyknie mi na zawal. Zbladł, przyglądając się Borysowi, i tylko pokręcił głową.

– To pana brat?

– Krew z krwi – odchrząknąłem, krztusząc się tymi słowami. – Chłopak aż rwie się do pracy. Potrzebuje tylko przewodnika.

Mówiąc to, ruszyłem w stronę Borysa. *A to się zdziwi, gnojek.* Sądząc po tym, co założył, zapewne myślał, że wbrew temu, co mówiłem przez telefon, posadzę go za biurkiem i każę donosić mu kawę przez cały dzień. Wiedziałem jedno, na każdą złotówkę, którą ode mnie dostanie, będzie musiał ciężko zapracować. Trzydzieści tysięcy to nie premia uznaniowa za jeden dzień pracy.

– Cześć, wielki bracie – rzucił z sarkastycznym uśmiechem.

Tylko na chwilę mój wzrok skupił się na odbiciu naszych sylwetek w szybie. Nie dziwiłem się panu Kazikowi, że wątpił w nasze pokrewieństwo. Borys wdał się w swojego ojca. Niezbyt wysoki blondyn, z modnie ułożonymi włosami, które miały zamaskować pojawiające się zakola. Obok niego ja. Wysoki, ciemnowłosa gościu o wyglądzie pocztukującego drwała. Przynajmniej teraz, gdy nie chciało mi się golić.

– Spóźniłeś się. Rozumiem, że masz ubrania robocze w samochodzie – odpowiedziałem beznamiętnie, brodą wskazując na

zaparkowane pod budynkiem srebrne BMW. – Od dzisiaj pracujesz z panem Kazikiem. Pokaże ci wszystko i wytłumaczy.

– Chwila! – obruszył się, mierząc wzrokiem stojącego w oddali starszego mężczyznę. – Chyba sobie żartujesz. Myślałem, że wczoraj to była jakaś podpucha. No wiesz, z tą robotą. Przyjechałem po forszę.

– Po forszę. – Zdezorientowany rozejrzałem się po niewielkim holu. Następnie wbilem wzrok w Borysa. – Sorry, stary, ale jeszcze nie rośnie na drzewkach. Czy ja wyglądam ci na kogoś, kto rozdaje kasę na prawo i lewo? Nie? A może wyglądam jak ten frajer z białą brodą? Też nie? To zapieprzaj do roboty – warknąłem wyprowadzony z równowagi ironicznym spojrzeniem brata. – Po południu podpiszesz umowę o pracę, łącznie z aneksem mówiącym o wysokości pożyczki, której ci udzielę, oraz dokumentem wskazującym, jak i kiedy masz ją spłacić. Jak się nie podoba, to mogę wskazać ci drogę do urzędu pracy, bo u mnie innej nie znajdziesz.

– Jesteś wrednym... – Zawahał się, widząc nieme ostrzeżenie na mojej twarzy. – Gnojkiem, wiesz o tym? – wysyczał, zaciskając palce na kaszmirowym szaliku.

Wyprostowałem się, mierząc wzrokiem wkurzonego brata. To chyba będzie dobre postanowienie noworoczne. Do tej pory ulegałem, nie chcąc mieć na głowie rozwścieczonej rodzicielki, ale czas najwyższy zrobić porządki w swojej stajni. Malowany ogierek do bryczki, zdziczała kobyłka na pastwisko, a ja w końcu będę miał ciszę i spokój!

– Przyzwyczajaj się do tego – ostrzegłem z szerokim uśmiechem. – A teraz albo biegnij do mamusi na skargę, albo bierz się do roboty. Tutaj się pracuje, jakbyś nie zauważył.

Bez słowa odwróciłem się i mrugnąłem okiem do oszołomionego pana Kazika. Pogwizdując wesoło jakąś cholerną kolędę, wszedłem do swojego biura. Rzuciłem na oparcie fotela kurtkę, a z szafy wyciągnąłem wysokie buty. Praca fizyczna z pewnością mi pomoże, w końcu ominął mnie jogging. Musiałem wyładować nadmiar

energii, w przeciwnym wypadku naprawdę mogłem zrobić krzywdę temu nieodpowiedzialnemu pajacowi.

Przed wyjściem sprawdziłem jeszcze plan dnia. *Cholera, bez telefonu to będzie mordęga.* Właśnie takie niespodzianki jak zgubiony telefon i dzisiejsze zamówienie rozwalają cały system. A ja źle znosiłem wszelkiego rodzaju nieplanowane zmiany.

Zanim ruszy dzień pracy, chciałem sprawdzić, w jakim stanie po ostatniej nocy są krzewy i szklarnie. Maria miała zjawić się dopiero o dziesiątej. Do tego czasu nawet pies z kulawą nogą by tam nie przyszedł.

W ciepłej kurtce i wysokich butach wyszedłem tylnym wejściem i skierowałem się do części gospodarczej. Dziadek wybudował dom na terenie należącym do firmy. Od drogi i parkingu dla klientów oddzielał go całkiem spory kawałek. Stojąc w salonie, zawsze odnosiłem wrażenie, jakbym mieszkał w środku lasu, z dala od innych ludzi. Naprawdę niewiele osób zdawało sobie sprawę, że znajdował się tutaj dom.

Jak się okazało, nocna wichura uszkodziła kilka okien w szklarniach, więc od razu trzeba było działać, zanim rosnące w nich rośliny ucierpią od niskiej temperatury. Razem z pracownikami zabezpieczyłem wybite szyby, a wszelkie troski i rodzinne problemy zeszyły na dalszy plan. Czas zleciał i zanim się obejrzałem, była prawie dwunasta. Nawałnica znacznie zelżała, pozostawiając po sobie tylko lodowate podmuchy wiatru i sączący się z nieba drobny deszcz. Pomagałem właśnie dokończyć załadunek, gdy kątem oka zauważyłem zbliżającą się do nas postać. Chryste, czy ludzie naprawdę mają taki problem z orientacją? Jest parking, przy nim duży budynek z wielką jak sto- doła tablicą z napisem „BIURO”.

– Przepraszam.

Chryste, kobieta! Powinienem się tego domyślić. Niestety, dzisiejsza moda zupełnie zatarała to, co kobiece, z tym, co męskie. Rzuciłem

jej szybkie spojrzenie, przytrzymując owiniętą siatką choinkę, aby nie zsunęła się z otwartej klapy auta.

– Zwiążuj – warknąłem do jednego z pracowników. – Tylko nie uduś tych cholernych drzewek – dodałem, gdy ze stęknieniem próbował zacisnąć mocniej sznur.

– Spoko – odsapnął. – Będzie jak ta lala.

– Przepraszam!

Warknąłem, gdy kobieta ponownie się odezwała, tym razem dotykając mojego przedramienia. Przeszył mnie dreszcz. Wrażenie było tak intensywne, że gwałtownie odwróciłem się w jej stronę, zaplatając ręce na klatce piersiowej. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to jej dość niski wzrost. Sięgała mi do brody i stała dumnie wyprostowana, patrząc na mnie roziskrzonym wzrokiem. Gdy lodowaty podmuch wiatru wtargnął pomiędzy nas, skuliła ramiona, naciągając na głowę kaptur kurtki.

– Proszę stąd odejść – poleciłem. – Parking dla klientów jest tam. – Wskazałem ruchem brody kierunek. – Tutaj wstęp wzbroniony.

– Ale ja szukam...

– Ja też szukam – odwarknąłem, ponownie jej przerywając. – Szukam ciszy i spokoju, i ludzi, którzy rozumieją, że „teren prywatny, wstęp wzbroniony” to nie centrum handlowe, do którego wchodzi, kto chce.

– Ja tylko...

– Do biura. Tam udzielą pani wszelkich informacji.

Zignorowałem jej zaskoczoną minę i ponownie skupiłem się na załadunku. Czułem, że stała za mną, a jej wściekły wzrok przepalał mnie na wskroś. Źle trafiła. Miałem w cholerę podły dzień, brata na karku i ciągle problemy. Nie wybiegałem dzisiaj nadmiaru energii, więc wszystko się skumulowało właśnie teraz. Dotarło do mnie szuranie butów po rozsypanych kamieniach i wiedziałem, że kobieta poszła. Odetchnąłem zimnym powietrzem i od razu skupiłem się na załadunku.

Gdy w końcu dotarłem do biura, byłem zziębnięty, brudny i w podłym humorze. Załadowany wóz ledwo wyjechał poza bramę, gdy strzeliła opona. Nagle dookoła znalazło się kilkunastu doradców i każdy miał inną wizję wybrnięcia z kłopotu. Przez chwilę miałem wielką ochotę ich udusić.

Koniec końców, kierowca ruszył z prawie dwugodzinnym opóźnieniem. Mimo to miał nadzieję, że może zdąży do domu na kolację. Nie byłem aż tak wielkim optymistą, ale nie odezwałem się nawet słowem.

– Witaj, Mario. – Zatarłem dłonie, próbując je nieco rozgrzać. – Skontaktuj się z kadrami. Niech przygotowują umowę o pracę dla Borysa. Szczegóły podam później.

– Już się za to biorę.

– A, i jeszcze jedno, zapodziałem telefon, więc sprawdź, czy mamy jakieś wolne na stanie, i zanotuj sobie nowy numer. Pod nim będę dziś dostępnym.

– No właśnie... Panie Danielu. – Spojrzałem na nią przez ramię. – Ktoś dostarczył to dla pana.

Położyła przede mną komórkę i portfel wykonany z brązowej skóry. Zaskoczony wziąłem do ręki ten ostatni, a na widok pliku gotówki w środku aż uniosłem brwi.

– Kto to przyniósł?

– Kierowca taksówki – wyjaśniła spokojnie. – Zostawił to pan ostatniej nocy.

– Podał swoje nazwisko?

– Nie. Powiedziała tylko, że znalazła to na siedzeniu tylnej kanapy.

– Co, proszę? Powiedziała? To była kobieta?

– Tak. – Maria spokojnie usiadła za swoim biurkiem. – Życzyła panu wesołych świąt.

Z niedowierzaniem potrząsnąłem głową. Wróciłem do siebie, podłączyłem telefon, który był już całkowicie rozładowany,

i wytrząsnąłem zawartość portfela na biurko. Nic nie zginęło. Wszystkie karty kredytowe na firmę były na miejscu, a z gotówki ubyłoby sześćset złotych, które zapewne wydałem w klubie i na przejazd do domu. Do diabła, to wszystko było warte od cholery kasy, a ona nawet nie zaczęła na znaleźć?

Magia świąt, cholera!

– Mario! – krzyknąłem, wiedząc, że mnie usłyszysz. – Jak wyglądała?

– Kto? Ta dziewczyna od taksówki?

– Dokładnie.

– Młoda, w kurtce z kapturem. Takim dużym.

Z trudem przełknąłem ślinę. Cholera, to chyba niemożliwe!

– A, i na kapturze miała jakieś napisy. Czerwone.

No to się spisałeś, panie Drzewiecki, nie ma co!



Silent Night

Elvis Presley

Ania

– Mama!

Przetarłam opuchnięte od snu powieki, gdy na mojej piersi wylądowała mała dziewczynka. Przytuliłam jej miękkie ciało, wdychając znajomy zapach kosmetyków dla dzieci. Nie wyobrażałam sobie życia bez tej małej kulki szczęścia. Nawet wówczas, gdy udało mi się przespać zaledwie cztery godziny.

– Przepraszam, dziecko. – Mama stanęła w drzwiach, rozkładając szeroko ręce. – Ma diabła za skórą.

– Nie ciem! – krzyknęła, podskakując na łóżku. – Diabeły siom złe.

– Mamuś – wyjęczałam, zasłaniając twarz zgiętą ręką. Jak nic za chwilę rozpęta się istne piekło. – Tyle razy prosiłam...

– Ty też masz diabła? – Mała wgramoliła się pod kołdrę i zaplatając rączki, oparła je o mój mostek. – Pokaś.

Zamrugła, odsłaniając najśliczniejsze na świecie oczy w kolorze kobaltu ze srebrną obwódką dookoła źrenicy. Nie miałam pojęcia, komu zawdzięczała takie cudne oczęta. Ja miałam orzechowe, jej

ojciec niebieskie, bez tych wszystkich fajerwerków nadających ten niesamowity widok.

– Babcia żartowała. – Odgarnęłam ciemne kręcone włoski, które opadły jej na policzek. – Wiesz, jak lubi się z tobą droczyć. Ostatnio żartowała, że masz żabę w buzi, pamiętasz?

– Ziabe i lopuche. – Pokiwała energicznie głową, a loczki ponownie jej opadły. – Ale jus myjem ziombki. Nie ciem lopuchy.

Szeroki uśmiech ukazał dwa rzędy małych ząbków. Może było ze mną coś nie tak, ale z niecierpliwością wyczekiwałam dni, gdy straci swojego pierwszego mleczaka. Jej uśmiech będzie wtedy taki rozkoszny.

– To jakie mamy plany na dzisiaj, dziewczyny? – zapytałam, układając kosmyki na głowie córki.

– Jedzionko!

No oczywiście. Moje dziecko myślało przede wszystkim o jedzeniu. Gdzie ona to mieściła, nie miałam pojęcia.

– Michalinka, śniadanie było dziesięć minut temu – przypomniała jej moja mama.

Misia zmarszczyła czoło i nosek, jakby próbowała zrozumieć, ile to tak naprawdę jest dziesięć minut. Moja córka odmierzała czas od posiłku do posiłku, z przerwami na ulubione bajki. Byłam ciekawa, jak mała wybrnie z tej sytuacji.

– Długie jedzionko? – zaszcebiotała, patrząc błagalnie na babcię.

Nie wytrzymałam. Parsknęłam śmiechem, bo mina Misi roz waliła system. Usteczka wydęte, trzepoczące rzęsy i mina aniołka, którym nie była. W takich chwilach przypominała mi swojego ojca. Ten przekłety drań robił dokładnie to samo, gdy chciał coś ugrać. Łasił się, prosił, przysięgał i obiecywał, a koniec końców myślał tylko o sobie i swoim tyłku.

Takie myśli na pusty żołądek to murowane wrzody. Pocałowałam córkę w policzek i z żalem wypłatałam się z pościeli. Miałam

masę rzeczy na głowie, więc wylegiwanie się w łóżku nie wchodziło w grę.

– Muszę odkurzyć samochód i szukam ochotnika do pomocy.

– Ja! Ja! – Misia jak dzika małpka zaczęła podskakiwać na materacu.

– Spadniesz – ostrzegłam. – I kto wtedy mi pomoże?

Zsunęła się z materaca i z poważną miną zerknęła na mnie, łapiąc babcię za rękę.

– Sipko, mama. Pienionszki nie lośnom na dziewczach. Bacia da mi jedzionko, bo nie bendem miała siły do psiontania.

Odwróciłam się, starając nie wybuchnąć śmiechem. Wiedziałam, że znajdzie jakiś sposób i dostanie to, co sobie zaplanowała. Już zaczynałam się bać tego, co przyniesie przyszłość.

Po śniadaniu zesłam na dół, aby przeparkować samochód. Na szczęście większość miejsc parkingowych świeciła pustkami. Wiadomo, święta za pasem, a lista zakupów nigdy się nie kończy. Mama przyprowadziła podekscytowaną Michalinkę, mówiąc, że idzie do najbliższego sklepu.

– Nie masz co liczyć na towarzystwo – stwierdziłam, widząc radość, z jaką mała czekała, aż otworzę jej drzwi. – A może poczekasz? Uwiniemy się z Misią w godzinkę, to potem możemy podjechać do centrum.

– Nie, córcia. Spacer dobrze mi zrobi. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Wy tutaj działajcie, dziewczyny. Nikt nie chce jeździć brudakiem.

– Nie tetem bludasiek! – odkrzyknęła Michalinka.

Przewróciłam oczami, śmiejąc się cicho. Relacja babcia-wnuczka była słodka jak miód i chwilami nieco przyprawiona ostrą papryczką. Gdyby nie pomoc mamy, chyba nie poradziłabym sobie z tym wszystkim. Niespodziewana ciąża pod koniec ostatniej klasy liceum zaprzepaściła moje plany na studia. Mój chłopak, z którym

chodziłam przez ostatni rok szkoły, nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności. Miał czelność stwierdzić, że to moja wina, bo nie brałam tabletek jak każda normalna dziewczyna, więc mam się tym zająć.

Gdzieś w sercu miałam nadzieję, że zmieni zdanie, gdy zobaczy zdjęcia z USG. Pamiętam tamten dzień, gdy z sercem przepełnionym miłością do rozwijającej się we mnie małej dziewczynki stanęłam na progu jego domu.

Nie był szczęśliwy, widząc mnie, ale wpuścił do środka. Chciałam mu powiedzieć, że będziemy mieć córkę i na pewno damy sobie radę, gdy dołączyła do nas jego matka. Nie była miłą kobietą. Zawsze patrzyła na mnie z góry, wykrzywiając usta w wyrazie niesmaku. Żle się czułam w jej towarzystwie, dlatego bardzo rzadko przychodziłam do ich domu.

Jej reakcja, gdy dowiedziała się o ciąży, wciąż tkwiła głęboko w moim sercu. Nigdy o tym nie zapomnę. Obiecałam sobie, że więcej nie pozwolę, aby ta kobieta i jej rozpieszczony synus zbliżyli się do mnie lub mojej córki. Misia nosi moje nazwisko. W żadnych dokumentach nie ma nawet wzmianki o jej ojcu. Dla nas nie istniał. Mała nie pytała o tatę, przynajmniej jeszcze nie. Kiedyś dowie się prawdy, ale póki co tata był dla niej abstrakcją, której nie rozumiała. Najważniejsze, żeby rosła, widząc, że jest kochana i chciana. Tak jak powinno czuć każde dziecko.

– Mama?

Stałam właśnie pochylona nad otwartym bagażnikiem.

– Tak, kochanie?

– Mam pienionszki.

– Dobrze, słoneczko. Możesz sobie wziąć.

Na szczęście nie wiało już tak jak minionej nocy. Nawet słońce nieśmiało próbowało przedrzeć się przez szare chmury. Pozwoliłam Michalinie posprzątać w środku auta. Miała mały bezprzewodowy odkurzacz, który udało mi się kupić na zeszłorocznej wyprzedaży. Przydatny gadżet, przyznaję.

– Fysyskie?

Otworzyłam usta, chcąc powiedzieć, że tak, gdy nagle naszło mnie uczucie dziwnego niepokoju. Zamknęłam bagażnik. Podeszłam do tylnej części auta, otworzyłam drzwi i wsunęłam się do środka.

– A ile znalazłaś pieniędzy?

– Duzio – zapewniła, posyłając mi niewinne spojrzenie.

Przypomniiał mi się ostatni kurs. Gburowaty mężczyzna, który rzucił mi pieniądze na siedzenie. Zmarszczyłam brwi, bo zupełnie o tym zapomniałam.

– Pokażesz mamusi pieniążki, które znalazłaś?

Misia sięgnęła za siebie i podała mi portfel. Męski, wykonany z miękkiej brązowej skóry. Dość mocno zużyty, sądząc po prawie nieczytelnym logo producenta. Z dziko bijącym sercem otworzyłam go i dosłownie skamieniałam. Karty kredytowe! Ja nie miałam nawet jednej, a ten facet nosił w portfelu aż dwanaście! Gotówka, której widok ponownie przyprawił mnie o dziki łomot serca. Gruby plik banknotów.

Najpierw Pan Uprzejmy Inaczej rzucił mi dwie stówki, a potem kolejne. Teraz trzymałam banknoty z portfela w dłoni, patrząc z przerażeniem na liczbę podobizn Zygmunta. Przełknęłam z trudem. Chryste, tutaj było ze dwa tysiące!

Jakiś zły duszek od razu zaczął nęcić mnie wizją cudownych i bogatych świąt. Suto zastawiony stół, góra prezentów i to najważniejsze, na które tak czekała moja córka. Żywa choinka.

No weź, Anka! Facet był totalnym dupkiem. Rzucił ci kasę jak psu kość, nie powiedział miłego słowa, ba! Nawet nie raczył wybełkotać „dobranoc”. Widać, że forsy ma jak lodu. Co to dla niego stówka w tę czy w tą. A tobie się przyda.

Zacisnęłam palce, odpędzając kuszące myśli. Nie, nie tego uczyłam córkę. Rozumiem napiwek, dziesięć czy nawet dwadzieścia złotych, ale aż tyle?

– Mama?

Oszołomiona spojrzałam na siedzącą obok Misię. Zupełnie zapomniałam, że jest tutaj ze mną. Odetchnęłam głęboko, chowając pieniądze i portfel do kieszeni. Postanowiłam, że poczekam na powrót mamy i pojadę tam, gdzie wysiadł klient. W końcu nie mieszkał na wielkim osiedlu, więc znalezienie go nie powinno być trudne.

– A telewiziolek też mogem?

– Jaki telewizorek? – Zmarszczyłam brwi, nie wiedząc, o czym mówi.

– O ten – mówiąc to, wyciągnęła w moją stronę telefon.

Jasny gwint! Wzięłam do ręki najnowszy model iPhone’a. Nie zdziwiłam się, gdy okazał się całkowicie rozładowany. Od razu wiedziałam, że należał do mężczyzny. Gdyby to ta lalunia zostawiła swój smartfon, zapewne obudowa skrzyłaby się od cyrkonii i tych wszystkich modnych ozdób.

Spojrzałam na uniesioną twarzyczkę Michalinki i jej pełen wyczekiwania uśmiech.

– Posłuchaj, córcia. Te rzeczy zgubił w nocy jeden pan. Musimy mu je oddać.

– Będzie pakał?

Zamaskowałam parsknięcie cichym kaszlem. Jakoś wizja płaczącego gbura do mnie nie przemawiała. Facet, który biegał po klubach z taką gotówką, którego było stać na wypasiony model telefonu, wygarniający laski z nocnych klubów – z pewnością nie płacze.

– Na pewno będzie.

– Dobrze. Nie ciem, żeby pakał.

– W nagrodę, że tak ładnie sprzątasz i znalazłaś te rzeczy, jutro pojedziemy na kiermasz świąteczny. Co ty na to?

– Tak! A będzie Mikołaj? I lenifelki?

– Będą.

Pogłaskałam ciemne loczki córki. Byłam z niej bardzo dumna. Samotne wychowywanie dziecka nie jest proste. Na razie wszystko dla niej było jak zabawa. Uczyła się przy tym odpowiedzialności, tego, co dobre i złe, własnych wyborów.

Nie wiedziałam, jak długo nie będzie mamy. Te jej samotne wyjścia do sklepu trwały czasami kilka godzin. Gdy ja pracowałam albo odsypiałam nocki, ona zajmowała się Michalinką. Chciałam, żeby miała też czas dla siebie. Odpoczęła od aktywnej dziewczynki, której obydwie poświęciłyśmy życie.

– Wiesz co, myszko? Pójdziemy teraz się umyć i pojedziemy oddać panu te rzeczy. A potem zapraszam cię na gofry. Musisz nabrać siły na kiermasz, bo zamierzam zwiedzić każde stoisko.

– Dam ładem. Jetem taka dużia! – Wyciągnęła nad głowę rączki, podskakując na siedzeniu.

Zbliżało się południe, gdy zatrzymałam auto na parkingu. Stało na nim kilka samochodów. Po prawej stronie znajdował się budynek biura, jak głosił zamieszczony na ścianie szyld. Wysoki płot i rosnące przy nim potężne drzewa uniemożliwiały zobaczenie tego, co się kryło za nim. Kilka metrów od budynku, przy otwartej bramie kręcili się jacyś mężczyźni. Natomiast po lewej stronie, w znacznej odległości od siebie były dwie hurtownie.

Wcześniej sprawdziłam dokładnie portfel. Znalazłam w nim firmowe karty kredytowe, ale żadnego nazwiska. W nocy ten facet był w takim stanie, że nie będzie dzisiaj niczego pamiętał. Jeszcze powie, że go okradłam. Odwróciłam się, by spojrzeć na śpiącą córkę. Wiedziałam, że nie powinnam, ale nie było sensu budzić jej na kilka minut. Niewyspana panna Michalina to tsunami łez i krzyków.

Chciałam mieć widok na samochód, dlatego bez zastanowienia podeszłam do pracujących mężczyzn. No cóż... Gdybym się spodziewała, że takich cudaków jak ten z poprzedniej nocy jest więcej, omijałabym to miejsce bardzo szerokim łukiem. Kolejny gbur właściwie